ANIOŁ STRÓŻ
Gazeta dla dzieci.
Bezpłatny dodatek — wychodzi co tydzień.
Rok 2 CHOJNICE, dnia 29-go października 1925r. Nr. 41

Różaniec wiedzie przez życie.

Było ich dwoje: siostra 14 letnia i brat 12 letni. Chodzili razem do szkoły i do kościoła, oddalonego od domu rodzicielskiego 2 i pół kilometra. Odbywali drogę tę wspólnie już od 4 lat, kiedy to sprowadzili się z matką wdową do wioski rodzinnej z miasta, gdzie ojciec — urzędnik — zmarł wskutek choroby nabytej na wojnie.

Matka często chorowała. Dzieci nauczone przez matkę, odmawiały na intencję jej powrotu do zdrowia różaniec. Jeżeli lekcje w szkole kończyły się wcześniej, wstępowały do kościółka i tam modły swe odprawiały. Jeśli zaś wychodziły o zwykłem czasie, to w drodze do domu odmawiały różaniec idąc same tą drogą, jedno „Zdrowaś Marja", drugie „Święta Marja" myśląc o drogiej mateczce.

Razu pewnego rzecze siostra do brata: Słuchaj jeno! Matuchna mówiła raz do mnie, że pragnęłaby, żebym ja, gdy, dorosnę, wstąpiła do klasztoru, jak Andzia sąsiadów. Nie mam dziś wprawdzie wielkiej ochoty. Chciałabym jednak spełnić życzenie matuchny. Wiesz co: będziemy odmawiali, mając chwilę sposobną, różaniec w tej intencji, ażeby Najświętsza Marja Panna pokierowała naszą przyszłością według Swojej woli. Może spełni się życzenie matuchny, a może i ty kiedyś księdzem zostaniesz.

Wyznać muszę, że ja, o ile wyrwać się zdołałem z pod wpływu siostry, chłopiec dziki, swawolny, marzyłem o wszystkiem innem, tylko nie o tem, bym miał być kiedyś kapłanem.

Zrobiliśmy jednak, jak siostrzyczka zaproponowała. Gdy matka była zdrowsza, schodziliśmy się z siostrzyczką, którą kochałem nad życie, w pustym pokoju, w którym wisiał jedynie obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej na ścianie, meble bowiem po śmierci ojca matka w części musiała sprzedać na pokrycie wydatków związanych z chorobą i pogrzebem. Tu odprawialiśmy różaniec z dwa, trzy razy w tygodniu, ja dla spełnienia życzenia siostrzyczki, bez głębszego zastanawiania się nad celem modlitwy, siostra natomiast z szczerem przejęciem się i prawdziwą pobożnością.

Widzę dziś jeszcze twarzyczkę jej czarnym włosem okoloną o czarnym oku, utkwionym w obrazie Matki Boskiej, o wyrazie podobnym do wzroku mieczem przeszytej Najświętszej Panienki.

— — — — — — — — — — — — — —

Minęło lat dziesięć. Mateczka jeszcze wciąż zamieszkiwała w J, ja po ukończeniu szkół mieszkałem w wielkiem mieście, na stanowisku, nie mającem nic wspólnego z kapłaństwem. Siostra zaś od lat kilku już była w klasztorze w dalekiej Istrji, skąd przeniosła się później do Francji.

Modły jej, połączone z niewątpliwie równie gorącemi modlitwami matki, zostały wysłuchane. Jam praktyk lat dziecięcych zaniedbał, stąd też inaczej losami mojemi Bóg pokierował. Rozczarowań dużo, cierpień, klęsk, — dziś jasno zdaję sobie sprawę z tego, żem sam sobie winien. Gdybym był wytrwał w czasie nauk szkolnych, może i co do mnie życzenie matki byłoby się spełniło.

Jeżeli jednak mimo wielu lat pokus nie straciłem wiary, jeśli po dziś dzień przechowuję z czcią największą otrzymany po zmarłej już tymczasem mateczce ów obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej, pamiątkę pięknej życia wiosny, jeśli w samotności mej odprawiam dziś przed nim różaniec, jak ongiś z siostrzyczką, to zawdzięczam to niezawodnie jej modłom oraz wspomnieniom owych chwil tak błogich najpiękniejszych w życiu.

Że i siostra pamięta o nich taksamo w dalekim klasztorze, dowodem tego wierszyk poniższy, który otrzymałem w październiku roku ubiegłego:

Pamiętasz, bracie, one dni,
Gdyśmy chodzili do kościoła,
Jak nas uczyła jedna szkoła?...
Mnie się on czas tak błogo śni!

Pamiętasz ów słoneczny czas,
Gdyśmy różaniec odmawiali.
Wracając do dom hen, pod las...
Upłynął on na życia fali — — —

Wspomnienie w sercu żywie wciąż.
Jam siostrą dzisiaj jest w klasztorze,
Bo wysłu hałeś modłów, Boże!
A z Ciebie czy jest dzielny mąż?

Wspomnieniem matki ty się żyw,
Cierpieniem stałem krzyżowanej
Pamiętaj, synu polskich niw,
Żeś Marji ty ofiarowany!

Bądź pewną, Siostrzyczko, w dalekiej stronie pełniąca służbę Bożą, że, acz był czas, kiedy wspomnienie to w sercu się mojem zatarło, dziś dzięki modłom Twoim jestem odrodzony, przez Marję więcej dziś zbliżony do Ciebie, niż kiedykolwiek. Aczkolwiek nie byłem godnym być sługą Bożym, jak ty, nie zginąłem w odmętach świata, duch mój ku Niebu jeszcze wzlata, choć włos starości kryje szron, młodości wspomnień gra, mi dzwon. Ja tu, na innym ty zaś krańcu świata, łączym się w różańcu!

T. Jeżewski.

Dlaczego olszyna ma czerwone drzewo?

(Bajka ludowa.)

Owego czasu szedł Pan Jezus ze świętym Piotrem przez bór gęsty, chojarami wielkiemi szumiący.

Miało się już ku nocy. W boru było mroczno i nijakiej ścieżyny w onym gąszczu święty Piotr nie rozeznałby, gdyby nie świetliki, które się ze swemi

latarkami pośród krzaków uwijały i coś niecoś mrok płoszyły.

A zaczaił się w owym czasie w boru djabeł z psem. Cichuśko se w krzakach siedzi, a na Pana Jezusa i świętego Piotra czeka, jako że nienawiść miał do nich okrutną i rad im psocił, jak tylko sposobność miał po temu.

Gdy się tylko podróżni z nim zrównali, djabeł zaraz do psa:

— Huź go!

I cieszy się, że pies chce zuchelek (kawałek) opończy świętemu Piotrowi urwie.

A pies nic — przywarował do ziemi i cicho leży.

Tak djabeł znowu:

— Huż gó!

Słyszy to święty Piotr, ale myśli sobie:

— Nic mu, niecnocie, nie będę mówił, przecie opamięta się może.

A djabeł precz swoje:

— Huź go! Huź go!

Zabrakło świętemu Piotrowi cierpliwości. Jak się nie odwróci, jak nie za woła:

— Huź tego, co pies jego!

Rety! wnetki też zahuczało, zadudniło. Pies ze ziemi się porwał i do djabła.

Przęląkł się kusy okrutnie i smyrg na sosnę.

Ale sosna nie ch iała przyjąć niecnoty. Zakolebała się, gałązkami zastrzęsła i kusemu oczy igliwiem zasuła.

Zeskoczył djabeł z sosny i smyrg! na olszynę. Ale pod tę porę pies do niego przypadł, za piętę chwycił, aż się krew po drzewie polała.

Ot tego to czasu olszyna drewno ma czerwone.

Wstyd się potem olszynom zrobiło okrutnie, że takiemu ladaco poratunek dały. Nie śmiały już rosnąć w lesie między innemi drzewami, tylko wyniosły się het! precz... na bagna, na trzęsawiska a moczary i tam się całą kompanią trzymają.

Tyle se tylko u Boga uprosiły, że im czerwone drewno korą czarną przyodział, a rankami i wieczorami w onych bielutkich mgiełkach je kryje.

Krystyna Rawicz.

Mały robotnik.

Ledwie błyśnie cudne słonko,
Ledwie wstanie ranek złoty,
Franio zrywa się z łóżeczka,
Bo go czeka moc roboty.

To w podwórku, to w ogrodzie
Uwija się chłopczyk mały,
A pracuje tak ochoczo,
Że w mig schodzi dzionek cały.

Teraz smutno jest w ogródku:
Żaden ptaszek w nim nie śpiewa
I trawniki się nie kwiecą,
A wiatr strząsa liście z drzewa.

— O, co liści tutaj leży! —
Mówi Franio zasmucony —
Przed godziną mój ogródek
Był tak ślicznie zamieciony!

Ha, zamiotę go raz jeszcze,
Machnę miotłą w lewo, w prawo!
— Kotku, puść że moją miotłę,
Daj mi pokój z tą zabawą!

Ale kotek miotłę trzyma
I szarpie nią w różne strony...
I Franiowi wciąż przeszkadza,
Skacze, mruczy rozbawiony.

Kotku, porzuć swe figielki,
Nie mam czasu, ty zbytn ku,
Bo w ogrodzie i w podwórku
Dzisiaj pracy mam bez liku.

Gucio-sknera.

Gucio dostał od cioci duże pudełko czekoładek. Pudełko zewnątrz pięknie było wyzłocone, wewnątrz jednak znajdowały się rzeczy jeszcze piękniejsze, a z pewnością smaczniejsze.

Tak myślał Gucio i brat jego Jurek.

A Gucio nie lubił dzielić się z nikim. Dał więc dwie, czy też trzy czekoladki bratu, resztę zaś z pudełkiem schował do szafy.

— Jak schowam — pomyślał — i zamknę szafę, to będę miał pudełko i cukierki bardzo długo.

Nie przyszło mu do głowy, że cukierki sprawiają przyjomność tylko wtedy, gdy się je zjada i częstuje nimi innych, a nie gdy leżą w szafie bez żadnego użytku. Bo Gucio był z natury skąpy, więc lubił więdzieć, że coś do niego należy.

Tymczasem cóż się stało: w szafie była wilgoć pudełko zrobione z tektury zepsuło się, złocenia i malowania spełzły A cukierki? Cukierki spleśniały.

Gucio zobaczył to wszystko, gdy po pewnym czasie wydobył swój skarb z ukrycia. Ze zmartwienia chłopczyk rozpłakał się głośno, opamiętał się jednak i żal swój ukrył w głąb serca, ale wieczorem opowiedział wszystko mamusi.

Rozmowa trwała długo. Następstwem jej było to, że Gucio od tej chwili nie dostawał nic na wyłączną swą własność, lecz do wspólnego z bratem użytku.

I przekonał się, że każda przyjemność podzielona z bratem lub przyjacielem większą się staje.

R. Lewinówna.

Przygoda mruczka.

Była bardzo późna jesień. Drzewa sypały resztki uschłych liści, cały ogród smutnie wyglądał.

Pewnego pogodnego południa duży, czarny kot Mruczek grzał się na ganku dworku Nagle wstał, wygiął grzbiet w pałąk i schowawszy ostre pazurki, jął się skradać po słupku na daszek ganku.

Przyczyna była taka: Wróble i sikorki zgromadziły się na dachu i nieprzeczuwając niebezpieczeństwa ćwierkały wesoło!

Mruczek po słupku sunie cicho ku nim... Już ma pochwycić upatrzoną ofiarę, gdy wtem z dworku wybiegła Zosia, w towarzystwie swych piesków Asa i Zbója.

Psy dostrzegły kota i głośno szczekać zaczęły.

Przestraszony Mruczek zeskoczył ze słupka, i w susach, jak szalony pobiegł w głąb ogrodu a psy za nim.

Wtem kot dopadł starego klonu i chciał uciekać w górę.

Lecz oto stało się nieszczęście! Kora starego klonu była spękana. Mruczek wsunął wypadkiem pazurki w jakąś szczelinę i potem ani rusz nie mógł ich wyciągnąć. Szerść zjeżyła mu się na grzbiecie ze strachu. Szarpie się, wyrywa łapkę, wszystko napróżno, pazury głęboko wcisnęły się w korę — Mruczek wyciągnąć ich nie może. Aż tu psy nadbiegły i ujadają i naszczekują coraz głośniej.

— Hau! hau!... a nie poluj szkodniku na ptaszki... Hau! hau! teraz boisz się... a nie czyń drugiemu, co tobie niemiło!

Zapewne rozgniewane psy nie byłyby poprzestały na napomnieniach tylko i Mruczek poznałby się z ich zębami, ale szczęściem nadbiegła Zosia i wyratowała kotka z przykrego położenia.